

# Opowieści z meekhańskiego pogranicza

Wschód – Zachód

Dotychczas w cyklu ukazały się:

1. Opowieści z meekhańskiego pogranicza.  
Północ – Południe
2. Opowieści z meekhańskiego pogranicza.  
Wschód – Zachód

Robert M.  
**Wegner**

Opowieści  
z meekhańskiego pogranicza

Wschód – Zachód



**powergraph**

Warszawa 2010

Copyright © 2010 by Robert M. Wegner  
Copyright © 2010 by Powergraph  
Copyright © 2010 for the cover by Rafał Kosik  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:  
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel./fax: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



Internet: [www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26  
[www.powergraph.pl](http://www.powergraph.pl)  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-61187-16-5**

Printed in Poland, EU





**WSCHÓD**  
**Strzała i wiatr**





# I będziesz murem

Zajazd Vendor stał na wschodnim krańcu miasta. A choć Lithrew nie było jakimś tam przysiółkiem, lecz sporym, liczącym przeszło dwa tysiące głów miastem leżącym na szlaku handlowym pomiędzy Imperium Meekhańskim a terenami opanowanymi przez se-kohlandzkie plemiona, to i tak zajazd sprawiał wrażenie miejsca, które trafiło tu z zupełnie innego świata.

Przede wszystkim – jego ogrom. Sam dziedziniec był wielkim kwadratem o boku około sześćdziesięciu jardów, a jego północną i południową stronę flankowały dwie stajnie, w których jednocześnie mogło się pomieścić ponad dwieście koni. Od strony zachodniej wyrastał budynek główny.

Budynek główny...

Był dwupiętrowy, co już stanowiło rzadki widok na tych ziemiach. Do tego zbudowano go z cegły, a nie, jak większość domów w mieście, z szarego piaskowca, i pokryto czerwoną dachówką, czego mógł mu pozazdrościć nawet ratusz.

Na tym jednak kończyła się uroda zajazdu. Jego mury miały przeszło trzy stopy grubości i straszyły szczelinami okien, wysokich, ale tak wąskich, że nawet dziecko nie wślizgnęłoby się do środka, a na dodatek zamykanych solidnymi, okutymi metalem okiennicami. Także drzwi nie sprawiały sympatycznego wrażenia: grube na trzy cale, niskie, nabijane żelaznymi ćwiekami i osadzone na zawiasach szerszych niż męska dłoń, pasowały bardziej do zamkowej furty niż do gościnnego zajazdu.

Łatwo można było sobie wyobrazić, jak w kilka chwil cały budynek zamienia się z przyjaznego wędrowcom miejsca odpoczynku w szyjącą na wszystkie strony strzałami fortecę.

I chyba dzięki temu świetnie pasował do nadgranicznego miasteczka i tych niespokojnych czasów.

Było już dobrze po północy, gdy na dziedzińcu załomotały kopyta kilkunastu koni. Mimo późnej pory większość gości jeszcze nie spała, bo nagle jedno z okien-strzelnic błysnęło światłem, ktoś krzyknął i wszczął się natychmiastowy ruch.

Na zewnątrz wysypali się ludzie, pacholki i stajenni podbiegali do zwierząt, uspokajali je, pomagali zsiąść jeźdźcom. Za służbą z zajazdu zaczęli wyglądać goście, przez dziedziniec przetoczył się szmer rozmów.

— Szary Wilk...

— Stary Woydas mówił mu, żeby poczekał na...

— Laskolnyk to ten, co dopadł...

— Parę dni temu poszedł w dzikie pola za a'keerem Gerdoonów.

— No, patrzcie państwo...

— Ale ich poharatali, widać bitka musiała być nielicha.

— Ot, nosił wilk...

— Na konie, patrz, Awent, na konie.

Rzeczywiście, zarówno ludzie, jak i konie – wszyscy wyglądali fatalnie. Jeden z jeźdźców obwiązał głowę szmatą, inny straszył pordezewiałym bandażem byle jak zawiązanym na udzie, ktoś nosił rękę na prymitywnym temblaku. Na wszystkich znać było ślady walki, porwane pancerze, potrzaskane tarcze i powgniatane hełmy. Ale o wiele wymowniejszy był sposób, w jaki siedzieli w siodłach – przygarbieni, chwiejący się z boku na bok, nieledwie zasypiający na końskich grzbietach. A gdy wreszcie któryś zsiadał z wierzchowca, stał przez chwilę na drżących nogach, jakby nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

Jeszcze gorzej wyglądały konie. Zeszkapiałe, wychudłe, ze zmatowiałą sierścią i zapadniętymi bokami, stały niezgrabnie rozkraczone, zwieszając łby i dysząc ciężko. Obraz nędzy i rozpacz.

Na dziedzińcu pojawił się właściciel Vendora, stary Bett.

— Ruszać się, łamagi! Konie do stajni, rozkulbaczyć, wytrzeć, wycesać, napelnić żłoby i poidła. Ludzi do środka! Ciężki dzień, co, generale?

Mężczyzna, do którego się zwrócił, zsiadał właśnie z siwego ogiera. Nosił wojskowy prosty hełm z nosalem, kawaleryjską kolczugę, czarne, skórzane spodnie i szarą opończę. Tyle można było dostrzec w świetle pochodni. Machnął karczmarzowi niedbale ręką i natychmiast skierował się do stojącego obok wierzchowca. W zdobionym srebrem siodle pochylony w przód, obejmując ręką koński kark, siedział młody chłopak. Mężczyzna złapał go za ramię i ostrożnie ściągnął w dół. Chłopak szarpnął się nagle, wrzasnął strasznym głosem i zwiotczał. Spod poczerńiałego bandaża opasującego mu brzuch pociekła krew.

— Kailean!

Najbliższy z jeźdźców zeskoczył z siodła i podbiegł. Dziewczyna. Nosiła się po męsku – wełniane portki, lniana koszula, wysokie do kolan buty – nic niezwykłego w tej części kraju, gdzie kobiety często pomagały mężom w przeganianiu stad czy innych pracach, które wymagały konnej jazdy. Ale na koszulę miała też narzuconą kolczugę z krótkimi rękawami, spod niej wystawał jeszcze brzeg pikowanej przesywanicy, a szeroki, misternie pleciony pas obciążała szabla. A to już nie był codzienny widok nawet u tutejszej kobiety.

Dziewczyna ujęła rannego za nogi i wspólnie wnieśli go do zajazdu.

Wojskowy bezceremonialnie zgarnął kufle i półmiski z najbliższego stołu. Ostrożnie ułożyli chłopaka na poplamionych winem i sosami deskach.

Dwóch kupców, drzemiących z głowami wspartymi na rękach, poderwało się z miejsca.

— No co?! No co...? — zapiął pijackim sopranem młodszy.

Mężczyzna zignorował go, całą uwagę poświęcając rannemu. Jego towarzyszka podeszła do kupców i zaczęła coś szeptać, z dłonią ostentacyjnie wspartą o rękojeść szabli. W miarę jak mówiła, duch bojowy zdawał się opuszczać pijaków, wreszcie obaj, mamrocząc jakieś przeprosiny, podreptali w drugi kąt izby.

Oficer zdjął hełm, uwolnił siwą czuprynę, przez chwilę ostrożnie badał stan rannego. Westchnął ciężko i odwrócił się, poszukując wzrokiem swoich ludzi.

— Bendarey, Ryuta, Daghena, przekazcie reszcie. Sprawdzić, jak oporzędzono konie w stajni, juki wnieść do środka. Ranni od razu na górę. I niech ktoś zawoła Aandursa.

Właściciel zajazdu był już na miejscu.

- Słucham, generale.
- Gorączka go pali, od wczoraj rzyga krwią i żółcią.
- Oficer wskazał chłopaka. — Potrzebujemy medyka, a najlepiej Weilhorna.
- Po medyka już posłałem, a stary czarownik, hm... Nie ma go, dwa dni temu pojechał do Werlenn.
- Szlag by to! Awien nie dotrzyma świtu z taką raną brzucha.
- Bett pokręcił głową.
- Nic nie poradzimy, generale. Wszystko w ręku Pani. Mam trzy wolne pokoje na górze. Jeden już przygotowują dla rannych.
- Wdzięczny będę. I jeden dla kobiet.
- Jak zwykle.
- Dziewczyna wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć.
- Nie zaczynaj znowu głupiej gadki, Kailean. W stajniach śpi teraz ze czterdziestu podparty chwoźniców.
- Nic by nam się nie stało.
- Wam nie, ale im tak. Zresztą, czego tu jeszcze sterzysz? Zdaje się, że twój koń ma problem z przednią nogą. I tylko ty potrafisz tę bestię rozkulbaczyć, unikając stratomania i pogryzienia. Oporządź go i załóż okład z wentyhu i rumianku. Szkoda takiego dobrego zwierzęcia.
- Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, szare oczy mężczyzny i zielone dziewczyny. Wreszcie prychnęła gniewnie, obróciła się, zamiatając powietrze ciemnoblonde warkoczem, i wyszła.

\*\*\*

Rano obudziła się ostatnia. Otworzyła oczy i gapiła się przez chwilę w bielony sufit, usiłując przypomnieć sobie szczegóły ostatnich dni. Wspomnienia były rozmyte, niejasne, pełne bitewnego zgiełku, świstu wiatru

w uszach, tętentu idących cwałem koni i dźwięku uderzających o siebie kling. A wszystko skończyło się długą, rozpaczliwą ucieczką z pogonią siedzącą im na karku. Odruchowo dotknęła opatrunku, spowijającego lewe ramię. Zdrętwiałe mięśnie bolały bardziej niż rana.

Wstanie wydawało się kiepskim pomysłem, lecz z podwórza dochodziły odgłosy krzątania, a pozostałe trzy kobiety, dzielące z nią pokój, zdążyły się już wynieść.

Westchnęła ciężko i przeklinając obolałe mięśnie, zwlokła się z łóżka. W kącie znalazła miskę i dzban z wodą. Umyła twarz, zaplotła warkocz i pozbierała porzucane części ubrania. Z poprzedniego wieczoru pamiętała tylko to, że była tak zmęczona, iż ścierała je z siebie, marząc jedynie o łóżku. Wcisnęła się potem pomiędzy Leę a Daghenę i zasnęła, zanim jeszcze obie przestały na nią kłać.

Po chwili wahania rzuciła przepocone rzeczy w kąć i wyciągnęła z juków czyste. Zielona koszula, granatowy kaftanik, ciemnoniebieskie spodnie, świeże onuce. Gdy na koniec wzięła wysokie buty i przypasała szablę, poczuła się o niebo lepiej.

Zmory poprzednich dni zbladły.

Usłyszała stukot pazurów po podłodze i z ciemnego kąta wyłonił się pies. Zwierzę było płowe, w budowie podobne do stepowego wilka, ale większe i masywniejsze. Barkami sięgało jej do połowy uda, a potężne szczęki wyglądały na stworzone do gruchotania kości.

— Jesteś, Berdeth... — Uklękła i podrapała go za uchem. — Już się bałam, że nie zdołasz nas dogonić. Dobrze, że wróciłeś, ale nie kręć się tutaj, zwłaszcza koło stajni. Konie tego nie lubią.

Pies warknął i powędrował do kąta. Obrócił się dwa razy w koło i zwinął na podłodze.

— No dobra, jak chcesz, to możesz tu zostać. Ja idę do stajni.

Wyszła.

\*\*\*

Na dziedzińcu było tłoczno. W Vendorze oprócz jej oddziału gościli także kupcy podróżujący z karawaną do Tenkor, kilku wędrownych handlarzy pośledniejszego sortu, paru kuglarzy, grupka pasterzy i sporo osobników o bliżej nieokreślonej profesji. O tej porze ci, którzy zdążyli już wytrzeźwieć, lub ku zmartwieniu Betta nie upili się zeszłego wieczoru, krzatali się już po całym placu. Karawana – dziesięć ciężkich, krytych płótnem wozów, każdy ciągnięty przez cztery konie – zbierała się do drogi. Jej przewodnik, czerwony na twarzy i z furią w oczach, kłął jak stu szewców, dając jasno do zrozumienia, co robi swoim woźnicom, jeśli natychmiast nie wyruszą.

— Natychmiast! — darł się, wymachując rękami.  
— Słyszycie, niewarte splunięcia bękarty zarobaczonych kóz?! Natychmiast!!!

Wozy z wolna opuszczały dziedziniec. Jako eskorta towarzyszyło im około dwudziestu uzbrojonych po zęby jeźdźców.

Kilku poznała. Czaardan Wethorma.

Gwizdnęła na palcach i zamachała do ostatniej dwójki. Odwzajemnili pozdrowienie, nie trudząc się przekrzykiwaniem panującego rozgardiaszu.

Sam Wethorm, w siodle, lekko pochylony, rozmawiał właśnie z Laskolnykiem. Dowódcę poznała głównie po siwej czuprynie. Ubrany w odświętny strój, gładko ogolony, wyglądał, jakby ostatnie dni spędził, wylegując się pod puchową pierzyną.

Wreszcie Wethorm skinął głową, uśmiechnął się, uściskał dłoń Laskolnykowi i pogalopował za karawaną.

Kha-dar podszedł do niej niespiesznie.

— Dobrego dnia, Kailean. Jak spałaś?

— Dobrego dnia, kha-dar. Nie wiem, nie pamiętam. Nie słyszałam nawet chrapania Lei. Co u tego starego złodzieja?

— U Wethorma? Sama widzisz, pracuje teraz jako eskorta karawan dla kupców z Nemwet. Nieźle płacą, dają wikt i procent od zysku. Poza tym nudno jak flaki z olejem.

— Chciałabym się czasem tak ponudzić. Bez urazy, kha-dar.

Uśmiechnął się nieznacznie.

— Ja cię dobrze rozumiem, dziewczyno. Ale... służyć ludziom, którzy ani dnia nie spędzili pod gołym niebem, a mówią ci, gdzie masz jechać, jak szybko, z kim się bić i kiedy wolno ci z konia zsiąść? No, sama powiedz.

Wzdrygnął się demonstracyjnie.

— Byłem obejrzyć twojego konia. Wygląda lepiej, ale nie mogłem sprawdzić mu nogi, bo bydlak nawet na mnie kłapie zębami. Powinnaś z nim porozmawiać i wytłumaczyć, kto tu rządzi.

— Próbuję, kha-dar, codziennie próbuję, ale on ciągle uważa, że to konie są pępkiem świata.

Uśmiechnął się i ruszył do dalszych zajęć. Kailean skierowała się w stronę zabudowań gospodarczych.

W stajni było pusto. Toryn przywitał ją uprzejmym parsknięciem. Pogroziła mu palcem.

— Znowu zachowujesz się jak dzikus. Ile razy ci mówiłam, żebyś nie próbował gryźć ludzi z naszego czardanu?

Parsknął jeszcze raz, nieco mniej uprzejmie.



— Żadnych ale. — Poklepała go czule po smukłej szyi. — Przez ostatnie trzy dni byłeś bardzo dzielny. Jestem z ciebie dumna.

Szturchnął ją przymilnie łbem, niemal zwalając z nóg.

— Daj spokój... — Pochyliła się nad owiniętą płótnem pęcina. — Lepiej pokaż nogę.

Opuchlizna wyraźnie zmaląła. Maść czyniła cuda.

— No, dzisiaj to ty jeszcze nie pobiegasz, ale za dzień, dwa zaczniemy spacerować.

Sprawdziła, czy w żłobie jest pełno owsa, a w poidle świeża woda. Wszystko było w najlepszym porządku.

Wychodząc, ponownie natknęła się na dowódcę. Tym razem obejrzała go sobie dokładnie: kawaleryjskie spodnie, buty z najlepszej cielejącej skóry, ciemnoczerwony, aksamitny kubrak, spod którego wyglądała śnieżna biel koszuli. Kubrak spięty był ciężkim, posrebrzonym pasem, obciążonym, chyba dla kontrastu, długim, prostym mieczem w niewyszukanej pochwie.

— Idziesz w konkury, kha-dar?

Zbył ją machnięciem ręki.

— Idę do Gendorycka, targować się o te konie, cośmy je odbili. To był jego tabun. Stary chytrus będzie próbował wykręcić się sianem. A po drodze mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

— Aha. Będzie coś do roboty przed południem? Rodzinę bym odwiedziła.

— Idź — rzucił krótko. — Powiedz And'ewersowi, że będzie robota dla kowala.

— Powiem...

Nagle zobaczyła, jak z przeciwległej stajni wychodzi Kocimiętka, prowadząc siwka z rzędem zdobionym srebrem, objuczonego jak do drogi. Nawet miecz i tarcza były przytroczone do siodła. Dwa inne konie stały już

obok. Trzy wierzchowce z czarnymi wstążkami wplecionymi w grzywę. Stłumiła jęk.

— Awien?

— Tak, córuchna. Dziś w nocy.

Gdzieś w środku odezwał się wstyd. Jeden z jej towarzyszy konał, a ona spała w najlepsze. Nawet go nie pożegnała.

— Nie odzyskał przytomności. — Laskolnyk zdawał się czytać w jej myślach.

— Kha-dar — zawahała się. — Może ja pójdę w amreh? Będzie dużo łez i krzyku. Ludzie inaczej się zachowują, gdy jest przy tym kobieta.

Pokręcił głową, unikając jej spojrzenia.

— Nie, córuchna. Ja tu dowodzę i to mój kamień. Nie zwalę go na cudze barki.

Spojrzała jeszcze raz na siwka.

— Solwen był ostatnim synem wdowy po zielarzu Ynwerze. Teraz została sama. Znam ją. Pozwól mi pójść chociaż do niej.

Wbił w nią wzrok.

— Naprawdę chcesz iść?

Wytrzymała to spojrzenie.

— Nie, kha-dar, nie chcę. Ale znam matkę Weirę i lepiej będzie, jeśli to ja zaprowadzę go do domu.

Powoli się rozluźnił.

— Dobrze, Kailean. Idź.

Wzięła od Kocimiętki wodze siwka i głaszcząc konia po chrapach, szepnęła:

— Chodź, wędrowcze, czas do domu.

W tej samej chwili jakby przestała istnieć. Ludzie w pobliżu spuszczały wzrok, udając, że mają coś pilnego do załatwienia na poziomie zarezerwowanym zwykle

dla drobiu. Niedobrze jest się gapić, gdy dusza zmarłego wraca do domu.

Kailean z tego samego powodu nie próbowała dotrzeć ogiera. Miejsce w siodle przeznaczone było dla duszy wojownika poległego w walce. Miejsce w jukach zajmowała spora część ich ostatniej zdobyczy. Razem z bronią, siodłem, uprzężą i koniem był to spory majątek.

Ale szła z tym do kobiety, której ostatni syn był teraz karmą dla kruków gdzieś na Stepach.

Amreh to naprawdę ciężki kamień.

Przeszła przez środek miasta, który tworzyły dwie główne, krzyżujące się ulice. Nikt jej nie zaczepiał, nikt nie pozdrawiał, choć wiele osób знаła. Ona sama udawała, że jest tu obca.

Amreh to kamień, który niesie się samotnie.

Zanim doszła na miejsce, wiedziała już, że nie będzie łatwo.

Wdowa po zielarzu czekała na nią przed domem. W rzadkie, siwe włosy wplotła czarne wstążki. Wiedziała.

W promieniu kilkunastu kroków stał tłumek ciekawskich. Stara Weira nie cieszyła się zbyt dużą sympatią. Uchodziła za wiedźmę i trucicielkę. Większość gapiów przysła chleptać jej ból.

Kailean podeszła wprost do wdowy. Podała jej wodze.

— Przeprowadziłam go do domu, matko Weiro.

Czarne oczy patrzyły z ponurą zawziętością.

— Przeprowadziłaś? A mnie się zdaje, że mój Solwen leży gdzieś wśród traw z czarną strzałą w sercu, a kruki i wrony wydziobują mu oczy.

Kailean gwałtownie wciągnęła powietrze. Po chwili, zgodnie ze zwyczajem, powtórzyła:

— Przeprowadziłam go do domu. Poległ śmiercią wojownika.

Śmiech starej kobiety był straszny.

— Śmierć wojownika? Mnie nie oszukasz, dziewczyno. Ja wiem, jak było. Śniłam o tym. O burzy na stepie, nocy, wichrze i deszczu. O błyskawicach na niebie i na ziemi, szaleńczym pędzie przez morze traw. O rzeniu koni, świście strzał i szczęku ostrzy. Czułam jego strach, strach mojego małego syneczka, i czułam jego wstyd z powodu tego strachu. Czułam jego odwagę i głupią, szaleńczą nadzieję na życie.

Pojedyncza łza spłynęła po pomarszczonym policzku.

— Czułam strzałę, która trafiła go w pierś, wraz z nim spadłam z konia i skończyłam tam, na stepie, w deszczu, błocie i bitewnej wrzawie.

Czarne oczy zapłonęły nienawiścią.

— Więc nie mów mi, że przyprowadziłaś go do domu! Zostawiłaś go tam, w błocie, ty i ten pomiot Przeklętych, Laskolnyk!

Kailean przyknęła oczy. Ten kamień był cięższy, niż myślała.

— Taki los — szepnęła.

— Los?! Los!! Jego los tkął Szary Wilk, odkąd Solwen przystał do waszego czaardanu. Ale i los Laskolnyka wkrótce się dopełni. Słyszysz? Dopełni się. Śmierć ku niemu idzie, śmierć w deszczu i burzy, i w świetle błyskawic. Śniłam o tym zeszłej nocy. Strzeż się, Kailean, bo i ciebie widziałam. Jechałaś na ogierze czarnym jak noc, a za tobą był ogień i dym. Szablę miałaś w ręku, zbroję z kości i piór, a na twarzy krew. I śpiewałaś, a słowa pieśni były czarnymi ptakami, które leciały ucztować na zmarłych. Strzeż się, Kailean.

Tłumek zaszemrał. Wiadomo było, że zielarka czasami wieszczyła. Kilka kobiet uczyniło znaki odpędzające zło.

Kailean po raz trzeci wyciągnęła ku niej wodze.